Joanna Chmielewska

Las Pafnucego

3

KLIN

Joanna Chmielewska

Las Pafnucego

3

Redakcja: *Ewa Kłosiewicz-Majka*

Korekta: *Małgorzata Kot*

Projekt okładki i ilustracje: *Włodzimierz Kukliński*

© Copyright by Wydawnictwo Klin, Warszawa 2012

ISBN 978-83-62136-68-1

Wydawca:
Wydawnictwo Klin
ul. Bruzdowa 117 H
02-991 Warszawa
tel. +48 501 686 786
e-mail: kontakt@wydawnictwoklin.pl
www.wydawnictwoklin.pl

Dystrybutor:
Firma Księgarska Olesiejuk Spółka z o.o. S.K.A.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
www.olesiejuk.pl
tel. +48 22 721 30 11, fax +48 22 721 30 01

Wydrukowano na Amber Volume 15 80 g/m²

Amber
BY ARCTIC PAPER
www.arcticpaper.com

Opracowanie graficzne i skład: Akant, Zalesie Górne

5. Paścidła

Las, w którym mieszkał niedźwiedź Pafnucy razem ze swoją rodziną, był wyjątkowo wielki. Także był gęsty i dziki, prawie jak puszcza. Dla ludzi nie nadawał się wcale, bo nie miał równego podłoża ani wygodnych ścieżek, ani dużych przestrzeni pomiędzy drzewami, ani miejsca na przyjemne spacery. Owszem, znajdowały się w nim większe polanki, porosłe poziomkami, i mniejsze polanki, porosłe paprociami i mchem, ale dojść do nich było prawie niemożliwe, bo drogę zagradzały gęste krzaki, różne zarośla, zwalone pnie i wysoka trawa, w której nie było nic widać. Zakrywała dokładnie rozmaite dołki i górki, doskonałe do połamania sobie nóg.

Za to bardzo dobrze nadawał się ten las dla zwierząt.

Zwierzęta miały swoje wąziutkie, wydeptane ścieżki, znały każdy dołek i każdą górkę, nie przeszkadzały im wcale żadne krzaki i żadne pnie. Mogły żyć w tym lesie swobodnie i beztrosko, po swojemu, zadowolone, że nikt obcy nie zawraca im głowy.

Pewnej wiosennej nocy, kiedy wszystkie ptaki już spały, wilki wyruszały na polowanie, a borsuki budziły się z poobiedniej drzemki, przez wielki kawał lasu bezszelestnie przeleciała sowa. Poleciała wyjątkowo daleko, nie tylko dlatego, że od czasu do czasu lubiła robić dłuższe wyprawy i sprawdzać, co się dzieje dookoła, ale też i z tej przyczyny, że jej kuzynki, inne sowy, gnieżdżące się w starych ruinach za lasem, ostrzegły ją przed jakimś niebezpieczeństwem.

Nie powiedziały wyraźnie, o co chodzi, same nie były tego pewne, ale niebezpieczeństwo miało grozić od ludzi.

Sowa zdziwiła się trochę, ludzie bowiem dotychczas unikali tego niewygodnego lasu. Przyjemności z chodzenia po nim nie mieli żadnej, same trudności i niewygody, a za to wiedzieli, że mieszkają tu wilki, niedźwie-

dzie, dziki i rysie, których bali się śmiertelnie. Niebezpieczeństwo, grożące z ich strony, wydawało się co najmniej dziwne i sowa postanowiła sprawdzić, co robią i gdzie.

Oczywiście nie w środku. Do środka lasu ludzie w żaden sposób nie zdołaliby dotrzeć. Jedynym człowiekiem, który znał las doskonale i umiał po nim chodzić, był leśniczy, ale leśniczy kochał wszystkie zwierzęta i wzajemnie był przez nie kochany, opiekował się nimi bardzo rozumnie i w żadnym wypadku nie dopuściłby do żadnego niebezpieczeństwa. Jeśli inni ludzie chcieliby zrobić coś głupiego, to tylko na skrajach, blisko końca lasu.

Sowa, jak zwykle, popłynęła bezgłośnie w kierunku, o którym mówiły sowy z ruin. Był to ten koniec, który lubiły dziki, bo malutka rzeczka robiła tam malutkie bagienko, w bagienku zaś rosły trzciny o bardzo smacznych kłączach i korzeniach, a także tkwiło mnóstwo ślimaków. W dodatku miały stamtąd dość blisko do ludzkich domów i pól, pełnych kartofli i marchwi, a dziki bardzo lubią kartofle i marchew.

Już z daleka sowa usłyszała jakieś szelesty i trzaski, i były to obce trzaski, zupełnie inne niż hałasy, robione przez zwierzęta. Zgadła od razu, że znajdują się tam ludzie. Podfrunęła bliżej, usłyszała ludzkie głosy i zobaczyła, że dwóch ludzi kręci się po lesie i przekrada z miejsca na miejsce. Przyświecali sobie słabiutkimi latarkami, pobrzękiwali jakimś żelazem, kręcili się po ścieżce dzików i stękali z wysiłku.

Sowa przyglądała się im pilnie i bez trudu, bo sowy doskonale widzą w ciemnościach, a także przysłuchiwała się temu, co mówili, bo sowy doskonale znają ludzką mowę i wszystkie języki świata. Siedziała tam tak długo, aż ludzie skończyli swoje zajęcia i odeszli, z wysiłkiem przełażąc przez rozmaite nierówności, po czym poleciała do ruin i odbyła naradę ze swoimi kuzynkami.

– Miałyście rację – powiedziała. – Obejrzałam tych ludzi. Musieli chyba oszaleć. Wiemy, że ich wstrętna chciwość nie ma granic, ale podobna głupota przekracza wszelkie pojęcie.

– Masz zamiar tym się zająć? – spytała ciekawie jedna z kuzynek.

– W zasadzie nie obchodzą nas takie rzeczy – odparła sowa z niechęcią. – Ale bardzo lubię Pafnucego i jego przyjaciół, i nie mogę zostawić odłogiem niebezpieczeństwa. Pomóżcie mi, bo obawiam się, że sama wszystkiego nie wymyślę, a wy tych ludzi widujecie częściej.

Sowy z ruin zgodziły się, bo wprawdzie rzadziej bywały w środku lasu, ale Pafnucego znały i również bardzo lubiły. Ich narada trwała prawie do świtu.

– Niedługo zrobi się widno – powiedziała z troską druga z kuzynek. – Nie zdążysz chyba zawiadomić wszystkich zwierząt. Nie należy psuć sobie wzroku jaskrawym światłem.

– O, wystarczy, że zawiadomię bodaj jedną osobę – zapewniła sowa. – A wieczorem porozmawiam z nimi obszerniej. Dziękuję wam za rady, dobranoc!

I odleciała z powrotem do lasu, gdzie było trochę ciemniej niż na otwartej przestrzeni. Sowy muszą przebywać w ciemnościach, ponieważ jasny blask bardzo razi je w oczy. Żyją zatem w nocy, a dzień przesypiają w swoich ukrytych dziuplach.

Po drodze do dziupli sowa rozglądała się pilnie dookoła i wreszcie dostrzegła pod drzewami jednego średniego borsuka, który właśnie wracał do domu. Był jednym z synów starego Borsuka i mieszkał w pobliżu jeziorka wydry Marianny.

Sowa spłynęła w dół i usiadła na gałęzi tuż nad jego głową.

– Hej, ty! – zawołała cicho, ale z naciskiem. – Nie wiem, jak ci na imię, ale zatrzymaj się na chwilę. Mam bardzo ważną wiadomość.

Średni borsuk zatrzymał się, na wszelki wypadek pod grubym konarem, i popatrzył w górę.

– Na imię mi Zenobi – powiedział grzecznie. – Jaką wiadomość?

– Zenobi, zapamiętam – powiedziała sowa łaskawie. – Pewnie już niedługo założysz własną rodzinę, bo widzę, że nieźle urosłeś.

– Czy to jest ta ważna wiadomość? – zdziwił się Zenobi. – O rodzinie już sam pomyślałem...

– Nie. I nie przerywaj mi, bo lada chwila słońce wzejdzie. Powiedz wszystkim, żeby nikt nie chodził tam, gdzie dziki mają swoje bagienko z trzcinami. Niech omijają z daleka cały ten teren. Wieczorem przylecę i wszystko dokładnie wyjaśnię. Nie zapomnij! Dobranoc.

I odleciała bezszelestnie.

– Dobranoc – powiedział zaskoczony Zenobi, chociaż dla niego właśnie zaczynał się dzień i wcale nie zamierzał jeszcze iść spać.

Pozastanawiał się chwilę i ruszył do domu.

Nad jeziorkiem Marianny już od wczesnego popołudnia zaczęły się gromadzić różne zwierzęta. Sarenki, Klementyna i Matylda, przyszły razem z dziećmi, kuna usadowiła się na gałęzi, przydreptał jeż Ignacy i przybiegły dwa dziki, wydelegowane z całego stada, a wszyscy chcieli po raz dziesiąty usłyszeć opowieść, jak leśniczy ucieszył się Kacperkiem. Balbina i Pafnucy opowiadali o tym w kółko, pomagały im ptaki, Marianna zaś słuchała z takim zachwytem, że prawie zapominała łowić ryby. Trzeba było jej o nich od czasu do czasu przypominać.

Kacperek uczył się właśnie wygrzebywać z grząskiego kawałka brzegu doskonałe, słodkie kłącza tataraku i był bardzo upaćkany błotem, kiedy nad jeziorko przyczłapał Borsuk.

– Nie ma Remigiusza? – spytał niespokojnie. – Dzień dobry wszystkim! Dlaczego tego lisa nigdy nie ma, jak jest potrzebny? Czy ktoś go widział?

Akurat tego dnia nikt jeszcze nie widział lisa Remigiusza i nikomu nie wydawał się specjalnie potrzebny. Pafnucy przed chwileczką skończył dziesiąte opowiadanie o tym samym, a Marianna wyskoczyła z wody z wielką rybą, którą rzuciła na trawę.

– A do czego ci Remigiusz? – spytała ciekawie i natychmiast, widząc wzrok Pafnucego, wskoczyła do jeziorka po następną rybę, żeby Pafnucy z Balbiną nie musieli dzielić się tą jedną.

– Może mógłby coś wiedzieć – powiedział borsuk z niezadowoleniem. – Podobno coś jest w tamtej stronie, gdzie on mieszka. Nawet jeśli niezupełnie w tamtej, w każdym razie ma tam bliżej niż my. Podobno trzeba to omijać.

Wszyscy zdziwili się ogromnie i wytrzeszczyli oczy na Borsuka.

– Co omijać? – zainteresowała się kuna.

– Nie wiem – odparł Borsuk niechętnie. – Nic kompletnie nie zrozumiałem. Podobno wiadomość pochodzi od sowy.

Wszyscy zdziwili się jeszcze bardziej, bo sowa pokazywała się raczej rzadko, a poza tym, jeśli już udzielała jakichś informacji, to udzielała ich porządnie, jasno i zrozumiale.

– Albo ja czegoś nie dosłyszałam, albo ktoś tu coś kręci – powiedziała Marianna karcąco, rzucając na trawę drugą wielką rybę. – Od dawien dawna wiem, że tylko Pafnucy potrafi opowiadać porządnie, ale takie krótkie coś mógłbyś i ty...

– Mógłbym! – prychnął Borsuk. – Gdybym wiedział, co to jest!

– A co to jest? – zaciekawiła się znów kuna.

– Chguguj kochegek... – zaczął Pafnucy i w okropnym pośpiechu przełknął ostatni kawałek ryby. – Bardzo przepraszam. Chciałem powiedzieć, że spróbuj powiedzieć od początku. Najlepiej wychodzi.

Borsuk popatrzył na niego ponurym wzrokiem.

– Jak dla mnie, początek jest najgorszy – oznajmił. – Wcale nie jest łatwo przyznać, że się ma syna idiotę.

– Kto ma syna idiotę? – spytała zdumiona Marianna.

– Ja – powiedział Borsuk.

– Ty masz syna idiotę? – zdziwiła się bezgranicznie Klementyna.

– Niestety, tak.

W tym momencie jak szaleniec wpadł na polankę syn Klementyny, młody jeleń, Kikuś. Był tak rozpędzony, że o mało nie wleciał do jeziorka.

– Och, och, och...! – wykrzykiwał.

– Zdaje się, że nie jesteś osamotniony – zauważył z gałęzi dzięcioł, który w milczeniu przysłuchiwał się całej rozmowie. – Nie ty jeden masz syna idiotę.

Klementyna tak się zdenerwowała rozpędem Kikusia, że nie miała kiedy się obrazić.

– Ależ chyba coś się stało...?! – wykrzyknęła z przestrachem.

– Och, och, och! – potwierdził lekko zdyszany Kikuś.

Marianna rozzłościła się natychmiast i z gniewu błyskawicznie wyłowiła dwie następne ryby. Balbina i Pafnucy nie pozwolili im długo leżeć na trawie.

– Może jednak spróbujcie powiedzieć coś z sensem – poprosił dzięcioł. – Bo słucham tu cały czas i nic kompletnie nie rozumiem. Borsuk był pierwszy...

– Ale Kikuś zaczął gwałtowniej – przerwała mu kuna, siedząca na niższej gałęzi. – Niech wyjaśni, co się stało. Kikusiu...?

– Och, ach, okropne! – wyjaśnił Kikuś.

– Pafnucy! – krzyknęła Marianna. – Musisz coś zrobić! Balbina ci przecież nie zabroni iść gdzieś tam, sprawdzić i opowiedzieć...!

– Ależ nie... – powiedziała Balbina.

– Wykluczone! – zawołał równocześnie Borsuk. – To jest chyba właśnie to, czego zabroniła sowa!

– Nic nie mówiłeś, że sowa czegoś zabraniała – zwrócił mu uwagę Pafnucy, który stanowczo wolał powyjaśniać wszystko w rozmowie niż odbywać teraz daleką wyprawę, ponieważ bardzo nie chciał rozstawać się z Kacperkiem.

Borsuk się zakłopotał.

– Nie mówiłem? No to teraz mówię. Sowa kazała omijać.

– O omijaniu było – wytknęła kuna. – Tylko nie wiemy, co omijać?

– Najchętniej przyprowadziłbym tu, do was, mojego syna, Zenobiego – wyznał Borsuk gniewnie. – Ale uciekł i gdzieś się schował, bo mu było wstyd, że niczego nie zrozumiał i niczego nie umie powtórzyć. Możliwe, że mu powiedziałem parę ostrych słów...

– Jak cię znam, objechałeś go rzetelnie – poprawiła kuna – i teraz biedny chłopiec nie może się nikomu na oczy pokazać.

– No, mój drogi! – wtrąciła się energicznie Marianna. – Jeśli ktoś chce być surowym ojcem, niech teraz sam odpracuje wszystkie obowiązki! Możesz przynajmniej powiedzieć dokładnie, co twój syn powiedział.

– Mogę – zgodził się Borsuk. – Jeśli coś z tego pojmiecie, będziecie znacznie mądrzejsi ode mnie...

– Może jesteśmy...? – zachichotała cichutko na gałęzi kuna.

– Mój syn powiedział tak – ciągnął Borsuk z rozgoryczeniem. – Powtarzam dosłownie. Spotkałem sowę. Kazała mi założyć rodzinę. Powiedziała, że to ważna wiadomość. Omijać z daleka cały teren tam. Gdzie dziki. Koniec informacji.

Przez długą chwilę wszyscy milczeli. Borsuk przyjrzał się im kolejno.

– Nie zawracałbym nikomu głowy takimi głupotami – podjął – gdyby nie to, że słowa „ważna wiadomość" wyszły z ust sowy. To jedno jest pewne. I nikt mi nie wmówi, że ważną wiadomością miała być sprawa zakładania rodziny przez mojego syna, bo to akurat stanowi wydarzenie zwykłe, normalne i nikogo nie musi specjalnie obchodzić. Każdy borsuk w odpowiednim wieku zakłada własną rodzinę i z pewnością nie to sowa miała na myśli.

– Och...! – powiedział nagle Kikuś, chwilowo stojący spokojnie i wysapujący swój poprzedni rozpęd.

Wszyscy spojrzeli na niego. Kikuś się nieco zakłopotał.

– Gdzie dziki...? – powtórzył niepewnie.

– Gdzie dziki – potwierdził borsuk. – Mój syn powiedział, że tak powiedziała sowa.

– No więc tam, gdzie dziki, było coś okropnego! – rzekł z determinacją Kikuś. – Nie wiem, co to było, ale przerażające!

Teraz już powolutku zaczął się lęgnąć ogólny niepokój. Słowa sowy należało potraktować poważnie, w dodatku Kikuś na zakazanym terenie napotkał coś okropnego. Co też to wszystko mogło znaczyć?

– Kikusiu – powiedziała surowo Klementyna. – Nie jesteś już dzieckiem, dorastasz, niedługo staniesz się poważnym jeleniem. Musisz powiedzieć porządnie, co to było, to okropne.

– Kiedy ja nie wiem, co to było – zmartwił się Kikuś.

– A jak to wyglądało? – spytała Balbina, która wprawdzie zgadzała się na wyprawę Pafnucego, ale też wolała, żeby został z nią i z Kacperkiem.

– Wcale nie wyglądało! – odparł stanowczo Kikuś.

– Więc może coś robiło? – zawołała zniecierpliwiona Marianna. – Jakoś chyba pokazało swoją okropność?

– Tak – powiedział Kikuś. – Zrobiło „chap...!”

– Cooo...? – spytali wszyscy razem.

– Chap...! – powtórzył Kikuś z energią.

Czegoś podobnego nie można było zostawić bez wyjaśnienia. Po szalenie długich i skomplikowanych wysiłkach udało się wreszcie wydusić

z Kikusia kilka szczegółów. Biegł sobie, a może nawet skakał, wskoczył na dosyć gruby drąg, drąg okazał się spróchniały, złamał się i wyprysnął mu spod kopytka. Poleciał w powietrze, a potem upadł swoim jednym końcem na ziemię i wtedy coś zrobiło „chap!” i chwyciło ten koniec.

– Zębami? – spytała z przejęciem kuna.

Kikuś pokiwał głową.

– I zjadło go? – spytała zaskoczona Marianna.

Kikuś powstrzymał kiwanie głową.

– Nie wiem – wyznał. – Tak bardzo długo nie patrzyłem.

Z łatwością można było odgadnąć, że na owo „chap!” Kikuś odbił się wszystkimi czterema nogami i runął w las, w kierunku jeziorka. Nikt nie miał o to do niego pretensji, bo też istotnie na takie „chap!” uciekłby każdy.

Borsuk słuchał w skupieniu i nagle przypomniał sobie, że tuż obok niego znajdują się właśnie dziki. Dziki, o których wspominała sowa! To gdzieś tam, w okolicy ich bagienka, jakaś przerażająca rzecz robi „chap!” i pewnie to miała na myśli sowa, kiedy kazała coś omijać.

– Hej, wy! – powiedział rozkazująco. – I cóż wy tak milczycie? Żaden z was nie odezwał się ani słowem, a to przecież wasze ulubione tereny! Co się tam dzieje i co za okropność robi „chap!”?

Oba dziki zakłopotały się w najwyższym stopniu.

– Nic na ten temat nie wiemy – powiedziały, pochrząkując. – Nie było nas tam co najmniej od wczoraj, całe nasze stado żeruje z innej strony, Pafnucy wie z której, bliżej Pucka, bo tam ludzie powyrzucali mnóstwo dobrych rzeczy. Ten kot, Pafnucy, ty wiesz który, Mruczek, ten, który lubi chodzić do lasu, mówił, że ludzie robią sobie porządki i wyrzucają stare kartofle, jabłka, chleb, kapustę i coś tam jeszcze, co im już nie smakuje, a to jest takie nadzwyczajnie doskonałe! I wcale tego nie trzeba szukać i wygrzebywać, leży na wierzchu. I nic zupełnie nie robi tam „chap!"

– No i proszę! – rozgniewał się Borsuk. – Mówiłem, że najpotrzebniejszy jest Remigiusz, on tam przecież mieszka w pobliżu, niemożliwe, żeby nic nie wiedział! Gdzie on się podziewa?!

Przez cały ten czas Kacperek taplał się w błocie i wygrzebywał kłącza tataraku, Klementyna i Matylda ze zdenerwowania przytupywały kopytkami, ich dzieci przepychały się wśród młodych gałązek, znakomitych do obgryzania, liczne wiewiórki wynajdywały sobie coraz to inne miejsca do siedzenia i słuchania, a Marianna, nie zwracając uwagi na swoje wydrzęta, dla uspokojenia wskakiwała do wody. Spokoju jej to wprawdzie nie dodawało, ale za to Pafnucy i Balbina mieli co robić. Jedli powolny, długi obiad.

Teraz Marianna wyskoczyła kolejny raz z kolejną rybą.

– Ejże, a co ptaki?! – krzyknęła z irytacją. – Co to ma znaczyć, siedzi was tu całe stado i nikt nic nie wie?! Żadne z was nie widziało niczego, co robi „chap!"? To sowa widziała, a wy nie? To w ogóle niemożliwe, żeby ptaki nie wiedziały pierwsze o czymś tak ważnym! Co to ma znaczyć?!

Odpowiedział jej głośny trzepot wśród gałęzi nad ich głowami.

– Nie wygłupiaj się – zganiła ją surowo zięba. – Już wszystkie ptaki były na tym terenie, który kazała omijać sowa, po parę razy, wszystkie wróciły. Nikt absolutnie niczego nie zobaczył! Nie mamy pojęcia, co tam się może dziać na ziemi, patrzymy z góry, a na ziemi nie ma nic. Nic! Rozumiesz?

– Ja skakałam po ziemi – przyznała się nagle sroka. – I nic mi z tego nie przyszło, nie znalazłam dla siebie najmniejszego drobiazgu. I nic nie zrobiło żadnego „chap!". Tyle że na dziczej ścieżce leżą inne patyki, ale tam zawsze leży tyle patyków, że te czy inne, to już bez różnicy. I żaden patyk nie robił „chap!"

– No więc bez kogoś tu się nie obejdzie – zawyrokował Borsuk. – Albo Remigiusz, albo sowa. Nikt z nas przecież nie pójdzie narażać się osobiście na to, że coś mu zrobi „chap!"

– Pafnucy... – wybąknęło się delikatnie Mariannie.

Równie delikatny pomruk wyrwał się Balbinie i Marianna czym prędzej zrezygnowała ze swojego pomysłu. Pafnucy wprawdzie nie bał się niczego, był wielki i potężny, i żadne „chap!" nie miało prawa mu zaszkodzić, ale jednak ostrzeżenie sowy zrobiło swoje. Nastąpiło coś bardzo dziwnego i należało zachować wyjątkową ostrożność.

– W takim razie – powiedział rozsądnie Pafnucy, zwracając się do ptaków – lećcie we wszystkie strony i poszukajcie Remigiusza. Sowy nie ma co szukać, ona i tak w dzień ze swojej dziupli nie wyjdzie, ale Remigiusza chyba uda się znaleźć?

– Świetny pomysł! – krzyknęła żywo kuna.

Bez chwili namysłu ptaki furknęły z drzew i poleciały w najrozmaitszych kierunkach. Borsuk nagle podniósł głowę.

– Pafnucy – zaproponował niepewnie. – A gdybyś tak poszedł do Pucka...?

Teraz ożywili się wszyscy, bo zazwyczaj Pucek, który był psem i żył między ludźmi, wiedział mnóstwo rzeczy, zupełnie nieznanych leśnym zwierzętom. Znacznie mniej natomiast wiedział o lesie. Gdyby owo „chap!" było ludzkie, a nie leśne, Pucek odgadłby może, co to jest.

– Czy to „chap!" było ludzkie, czy nasze? – spytała surowo Matylda Kikusia.

– A skąd ja to mam wiedzieć! – zdenerwował się Kikuś. – Nawet nie zdążyłem niczego obok powąchać! Było straszne, chapnęło bardzo głośno i tyle!

– Czy to trzasnęło? – zainteresował się cichutko jeż Ignacy.

Kikuś zastanowił się i pokręcił głową.

– Nie. Chociaż może trochę tak. I kłapnęło. Tak jak dziki. Paszczęką.

Oba dziki natychmiast kłapnęły paszczękami.

– Tak? – spytały.

– Niezupełnie – odparł Kikuś. – Trochę prawie, ale nie całkiem.

– I myślicie, że to tam ciągle tak chapie i kłapie? – zatroskała się kuna.

Nikt jej na to pytanie nie umiał odpowiedzieć. Gdyby ciągle chapało i kłapało, dziki nie mogłyby wrócić do swojego ulubionego miejsca. Wszyscy w ogóle musieliby je omijać, zgodnie z zaleceniem sowy, i byłoby to ogromnie uciążliwe. Jakiś kawałek lasu nagle okazałby się niedostępny i niebezpieczny i zwierzęta miałyby zatrute życie.

Pafnucy zadecydował, że jednak pójdzie do Pucka. Pójdzie sam, a Balbinę i Kacperka zostawi nad jeziorkiem, bo wyprawa z dzieckiem za długo by trwała. Zjadł szybko dwie ryby i wyruszył od razu.

Klementyna i Matylda zaniepokoiły się nagle o sarny po drugiej stronie rzeki i postanowiły zawiadomić o chapaniu i kłapaniu całą rodzinę

Patrycji i Gawła. Zabrały dzieci i popędziły, a równocześnie Kikuś popędził na poszukiwanie Klemensa.

Kuna znienacka straciła cierpliwość i zdecydowała się przemknąć po drzewach w stronę domu Remigiusza, nie czekając na powrót ptaków. Przy okazji, z ciekawości, chciała przynajmniej spojrzeć na owo dziwne miejsce. Skoro chapanie i kłapanie znajdowało się na ziemi, patrzenie z drzewa niczym jej nie powinno zagrażać.

Jeż Ignacy, głęboko zamyślony, podreptał w stronę swojego mieszkania. Dziki skorzystały z okazji, żeby udać się na kolację i od razu zawiadomić całe stado, a nawet dwa stada, o niebezpieczeństwie nad ich malutką rzeczką. Balbina zabrała Kacperka i poszła do dość odległego miejsca, gdzie brzeg rzeki był twardy, łagodnie schodził do wody i pozwalał na obmycie małego niedźwiedzia z całego błota, jakie się do niego przylepiło.

Wrócił dzięcioł, oznajmił, że Remigiusza nie znalazł i że z ptaków już wielkiej pociechy nie będzie, ponieważ lada chwila zacznie się zmierzchać i wszystkie pójdą spać. Nawet jeśli któryś Remigiusza odnajdzie, w ciemnościach po lesie latać nie będzie.

W ten sposób, kiedy w zapadającym zmroku nad jeziorko przyfrunęła sowa, znajdowały się tam tylko dwie osoby. Okropnie zdenerwowana Marianna i ponuro zamyślony Borsuk. Zdenerwowanie Marianny objawiało się w ten sposób, że stawała słupka nad brzegiem, następnie wskakiwała do wody, wyskakiwała z niej z rybą, rzucała rybę na trawę i znów stawała słupka. Wytrwać w bezruchu absolutnie nie mogła dłużej niż dwie sekundy. Borsuk natomiast przeciwnie, siedział tak nieruchomo, jakby był zrobiony z kamienia.

– Dobry wieczór – odezwała się znienacka sowa nad ich głowami. – Cóż za pustka tutaj panuje? Spodziewałam się zastać większe towarzystwo.

Wrażenie uczyniła tak potężne, że nastąpiła zupełna odwrotność sytuacji. Marianna znieruchomiała, a Borsuk aż podskoczył.

– Sowa! – krzyknęli oboje razem z nadzwyczajna ulgą. – Nareszcie...!

Po czym zaczęli mówić równocześnie w sposób kompletnie niezrozumiały, zaczynając różne słowa i nie kończąc prawie żadnego. Borsuk dodatkowo wydawał z siebie pomruki, a Marianna popiskiwała. Uspokoili się wreszcie, bo zabrakło im tchu.

Sowa przeczekała ten występ cierpliwie.

– Mam nadzieję, że nikt nie zlekceważył mojego ostrzeżenia? – rzekła sucho, chociaż z odrobiną niepokoju, bo cały czas miała obawy, że spotkanego borsuka Zenobiego poinformowała niedostatecznie dokładnie. Gnębiły ją nawet chwilami lekkie wyrzuty sumienia.

Borsuk zdążył jej odpowiedzieć wcześniej niż Marianna.

– Nie – rzekł równie sucho. – Aczkolwiek trzeba przyznać, że ostrzeżenie nie było zbyt jasne.

– Tak ściśle biorąc, nikt go w ogóle nie zrozumiał – poparła go cierpko Marianna. – I nawet nie wiadomo, kogo o co pytać. Remigiusz znikł...

– Remigiusz jest na końcu długiego zagajnika, na skraju nowego starego lasu – przerwała jej sowa. – Szuka dobrego miejsca na nory dla swoich dzieci, bo chce się ich wreszcie pozbyć z domu.

– Skąd wiesz? – wyrwało się Mariannie.

– Takie miał zamiary, kiedy go ostatnio spotkałam – odparła sowa. – Mówił o nich. Nie wątpię, że je zrealizował, bo przy żonie i dzieciach nie miał chwili spokoju.

– A żona...? – wyrwało się znów Mariannie.

– Żona jeszcze trochę podszkoli dzieci, a potem też zamieszka oddzielnie – wyjaśniła uprzejmie sowa.

Borsuk się zdenerwował.

– Może o sprawach rodzinnych Remigiusza porozmawiamy kiedy indziej – zaproponował cierpko. – Istnieje chyba obecnie pilniejszy problem?

Marianna prychnęła, ale sowa nie straciła cierpliwości.

– Nawet bardzo pilny – powiedziała spokojnie. – Stało się coś złego i niezmiernie szkodliwego. Myślałam, że powiem to wszystkim razem, ale skoro jesteście tylko wy, powiem wam i musicie z tym coś zrobić, bo wisi nad wami nieszczęście.

Marianna i Borsuk gapili się na sowę, tak zaskoczeni, że nie umieli wymyślić żadnego pytania. Sowa jednakże na żadne pytania nie czekała.

– Do naszego lasu wdarli się kłusownicy – rzekła z naciskiem.

Mariannie i Borsukowi nie wyjaśniło to niczego. Żadne zwierzę w wielkim lesie nie miało najmniejszego pojęcia o kłusownikach, których dotychczas nigdy tu nie było. Nie tylko leśniczy pilnował bezpieczeństwa, ale dbały o las także wszystkie władze leśne, bo był to las wyjątkowy. Mieszkały w nim liczne zwierzęta pod ochroną: bobry, wydry, łosie, wilki, rysie, wśród nich zaś najważniejsze. Niedźwiedzie.

Specjalnie się starano, żeby w tym akurat lesie, trudno dostępnym dla ludzi, zwierzęta miały doskonałe warunki do życia i żeby nikt nie czynił im żadnej krzywdy. Kłusownicy wiedzieli o staraniach i pilnowaniu i omijali las z daleka. Dopiero teraz znalazł się ktoś głupi, zły i bezmyślnie chciwy.

Sowa bardzo szybko zorientowała się, że Marianna i Borsuk nie rozumieją zupełnie tego, co powiedziała. Westchnęła ciężko.

– Widzę, że muszę wyjaśnić obszerniej – rzekła i usadowiła się wygodniej na grubej gałęzi. – Kłusownicy są to ludzie...

– Ach! – krzyknęła Marianna. – Więc jednak to chapanie i kłapanie jest ludzkie? Więc Pucek będzie wiedział...!

– Nie przerywaj! – zgromił ją borsuk. – Bo do końca życia nie dowiemy się niczego!

– Słuszna uwaga – mruknęła sowa. – Są to ludzie, którzy polują na zwierzęta wstrętnie i podle. I nielegalnie.

– To co to znaczy? – spytała Marianna, zanim zdążyła sobie przypomnieć, że o nielegalności już słyszała. Ludzie nielegalnie myli nad jeziorkiem samochody... – Nie, już wiem! – dodała szybko. – To znaczy, że to jest zabronione?

– Całkowicie – zapewniła ją sowa. – I karalne. Ale ludzie są dziwni, jak sami wiecie, robią różne rzeczy zabronione, a potem się oburzają, że zostali ukarani. Mają źle w głowie.

– Mamy teraz zajmować się ludźmi? – zaprotestował Borsuk.

– Nie – westchnęła znów sowa. – Próbuję wam wyjaśnić kwestię sideł i pułapki...

– Czego? – spytali Marianna i Borsuk równocześnie.